

Śpiewak

Jechałem jak wariat do małej miejscowości Liszna na Podkarpaciu. Dawno nie byłem w Bieszczadach, ale nie góry były moim dzisiejszym celem. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Rano szef podszedł do mojego biurka i obwieścił, że ma dla mnie dodatkową robotę. Po minie poznałem, że to coś specjalnego i pewnie mnie ucieszy. Kiedy jednak okazało się, że mam przeprowadzić wywiad z samym Bartoszem Kogutem, aż wstałem i usiadłem z wrażenia. Życzy sobie rozmawiać tylko z tobą, a materiał będziemy mieć na wyłączność – dodał naczelny. – Więc mam do ciebie pytanie. – Jakie? – zapytałem głupkowato. – Co ty tu jeszcze robisz? Wiesz, ile kilometrów jest w Bieszczady?

Tak więc kilka godzin później mknąłem po górskich serpentynach, jedynie pobieżnie zerkając na wspinały kolorowy dywan mieniących się w słońcu koron drzew, porastających bieszczadzkie poloniny. Bartosz Kogut to fenomen nie tylko w skali Polski. Jego błyskawiczna, gigantyczna kariera wystrzeliła niespodziewanie niczym pozornie wygasły wulkan. Po czym równie szybko i w tajemniczych okolicznościach została przerwana. Plotki mówiły o kłopotach zdrowotnych, problemach prawnych, a nawet o śmierci artysty. Inni twierdzili, że cała ta szopka to tylko ściema i Bartosz Kogut był jedynie wytworem technologicznej manipulacji i oszustwem, jak kiedyś Milli Vanilli.

Jakkolwiek by nie było, to właśnie ja miałem wysłuchać jego zwierzeń i ujawnić je światu.

To będzie materiał! Opiszę jego historię w najdrobniejszych szczegółach. Nagroda Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w tym roku będzie moja!

Na maleńkiej stacji benzynowej w Cisnej z piskiem opon zatrzymało się lśniące czarne BMW. Z mocnych głośników wydobywał się melodyjny tenor Andrea Bocelli'ego, dobrze słyszalny w ciszy sobotniego poranka.

Ze środka wytoczyła się dziwaczna postać. Okrągła niczym baryłka z krótkimi, grubymi kończynami i głową wciśniętą w korpus, wyciskającą przy tym ze trzy podbródki. Na czarnej koszulce z logo zespołu AC/DC spoczywał pokaźny złoty łańcuch, przyćmiewający skrzący się w słońcu sygnet na lewej ręce. Niewysoki mężczyzna pomimo tuszy poruszał się z zadziwiającą gracją.

Kierowca zatrzasnął drzwiczki i skierował pędem do toalety. Kiedy załatwiał fizjologiczne potrzeby, ponownie usłyszał głos tenora.

No proszę. – Uśmiechnął się zadowolony. – Nawet tutaj słuchają mojej stacji.

Kiedy mył ręce, zdał sobie sprawę, że czegoś jednak brakuje. Głos Bocelli'ego słyszeć było wyraźnie przez maleńkie okienko u góry, ale nie towarzyszyła temu żadna muzyka. Na moment zastygł, a później zaintrygowany wyskoczył z przybytku, zapominając nawet o wysuszeniu dłoni.

Dreptając wokół stacji, kierował się w stronę znajomych dźwięków. Gdy wyszedł zza winkła, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Młody mężczyzna w niebieskim uniformie z narzuconą kamizelką odbłasko- wą poruszał się niezgrabnie, zamiatając zamasyście i śpiewając do końcówki miotły.

Jaka scena, taki mikrofon. – Ocenił grubas z wrodzonym sobie poczuciem humoru.

Pracownik stacji zauważył intruza i momentalnie zatrzymał się, przestając wydobywać miłe uchu tony.

– Słucham? – zapytał nieco poirytowany. – Pomóc w czymś trzeba?

– Nie, nie. – Pokręcił głową pytany. – A w zasadzie tak. Niech pan jeszcze zaśpiewa, a potem mnie uszczypnie.

– Ja tu pracuję, niech mi pan głowy nie zawraca. – Poczzerwieniał.
– Dam panu stówkę za dośpiewanie tego utworu do końca. – Sięgnął po portfel, ale widząc spojrzenie znad miotły, zrezygnował.
– Jaja pan sobie robi? – Irytował się coraz bardziej tamten. – Mi tu płacą za lanie benzyny, a nie śpiewanie.
– Być może lepiej by pan na tym wyszedł, gdyby zaczął pan zarabiać głosem, nie miotłą. Proszę, oto moja wizytówka. – Wcisnął mężczyźnie w uniformie mały tekturowy prostokącik. – A ja się na tym znam, niech mi pan uwierzy. Marek Zawadzki jestem.
– Bartosz Kogut. – Przedstawił się tenor. – Naprawdę się panu podobało? Bo wie pan, ja...
– Koooogut! – zawołał ktoś zniecierpliwionym głosem. – Do mnie!
– Oho, szef wzywa, muszę iść. – Odstawił miotłę i pobiegł.
– Niech pan do mnie zadzwoni, szkoda zmarnować taki talent. Na wizytówce jest mój numer – zawołał do pleców nowo poznanego Zawadzki. Następnie, zerknąwszy na zegarek, zaklął i szybko udał się do samochodu. BMW gwałtownie poderwało się do jazdy i z głośnym piskiem opon wyskoczyło na rozgrzany asfalt. Zanim opadł kurz, zniknęło za zakrętem.

Bartosz Kogut siedząc w fotelu, obracał w palcach małą wizytówkę. Zdusił peta w popielniczce, tylko po to, by od razu zapalić kolejnego papierosa. Dwudziestego piątego czy szóstego dzisiaj. Od dawna przestał liczyć, ile tej trucizny codziennie dostarcza do płuc. Tylko puste paczki informowały go, że kolejne „dwudziestki” poszły z dymem. Potarł zapałkę i przystawił do trzymanego w ustach papierosa.

Muzyk, dobre sobie. – Zaśmiał się w myślach. – Przez chwilę prawie uwierzyłem. Przytknął wciąż palącą się zapałkę do wizytówki. Niech go wielki świat nie mami, tacy jak on nie mają szans. Nie chciałbym się znowu sparzyć. – Wrócił w pamięci do feralnego występu. Konkurs dla młodych talentów w Sanoku. Pełna sala ludzi, kamery, a przed mikrofonem on, stremowany i cały opryszczony. Pierwszy raz miał śpiewać dla tak wielkiego audytorium. Niestety, natura zrobiła swoje w najmniej pożądanym momencie. Hormony, nie bacząc na nic, rozpoczęły proces zwany mutacją. Skrzeki, które z siebie wydawał, spotkały się jedynie z politowaniem i śmiechem.

Nie zauważył nawet, że ogień dosięgnął palców. Dopiero ostry ból wybił go ze wspomnień. Zaklął, zły na siebie. – Nigdy więcej! – Zacisnął pięść. – Niepotrzebnie spotkałem tego gościa.

Ziarno jednak zostało zasiane. Rzucona pochwała rozbudziła dawne nadzieje. Bartosz od dziecka lubił śpiewać. W rodzinie nie było takiej tradycji, więc robił to po swojemu. Dopiero w szkole nauczyciel muzyki zwrócił uwagę na możliwości chłopca. Stąd trafił do kościelnego chóru, a gdy w Sanoku organizowano konkurs muzyczny dla dzieci i młodzieży, został oczywistym przedstawicielem szkoły. Niestety, występ był jedną wielką porażką i ogromnym cierniem wbitym w nieukształtowaną jeszcze, wrażliwą duszę. Jeśli wcześniej można było powiedzieć, że był wstydlivy i nieufny, to po występie cechy te uległy spotęgowaniu.

Pozostało mu tylko śpiewanie w gronie rodziny przy różnych okazjach. Został głównym kolędnikiem u Kogutów. Czasami też umiłał głosem nasiadówki przy ognisku.

W rodzinnej miejscowości Liszna nie miał za wiele okazji do zaprezentowania talentu. Prosto po skończeniu szkoły średniej zatrudnił się na stacji benzynowej w Cisnej, bo pieniędzy w domu było mało, a możliwości zarobku w okolicy niewiele.

Samej muzyki nie dzielił na rodzaje. Muzyka, to muzyka. To sposób wyrażania tych wszystkich emocji, które każdy kryje we wnętrzu. Rzewnie, gdy na duszy smutno i wesoło, gdy się raduje. Żeby przytulić, ale i żeby potaćnować. Chciał się tym dzielić z innymi, dawać siebie.

Gdy pewnego razu jadąc do pracy, zauważył ogłoszenie o lokalnych eliminacjach do telewizyjnego programu muzycznego, powziął decyzję. Jeśli ten Zawadzki nie łągał, to może to jakaś szansa dla mnie. – Postanowił się zgłosić. – A jeśli się sparzę po raz drugi, to trudno. Gorzej niż ostatnio już nie będzie.

Eliminacje odbywały się w Sanoku, jego Waterloo. Po wykonaniu piosenki U2 *In the name of love* bez trudu zakwalifikował się do selekcji na szczeblu centralnym. Pierwszy, najważniejszy krok został zrobiony. Dawne demony wyblakły.

Główne eliminacje odbywały się w wielkiej sali telewizyjnego studia, przy dużej publiczności i licznych kamerach. W tej fazie programu jurorzy siedzieli na czterech odwróconych fotelach. Tak, aby ich wybór uzasadniony był jedynie głosem kandydata, nie jego powierzchownością. Tylko w trakcie występu mieli czas na decyzję – jeśli chcieli mieć uczestnika w swojej drużynie, wciskali przycisk w postaci grzybka i fotel odwracał się. Na jednym z foteli znajdowało się nawet dwóch jurorów, ale mieli tylko jeden wspólny głos.

Bartosz dostał do ręki mikrofon, członek ekipy otworzył przed nim drzwi i mógł wkroczyć na scenę. Klamka zapadła – pomyślał, gdy drzwi zatrzasnęły się za nim. Zamknął oczy i nabrał głęboko powietrza. – Dziwny jest... ten świat! – zaczął, gdy akompaniujący zespół zagrał pierwsze nuty piosenki Czesława Niemena. Nagle został sam, był tylko on, muzyka i emocje, które wyrażał w wyśpiwanych słowach. Trema zniknęła. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że wszystkie fotele skierowane są już w jego stronę. Nie miał czasu na uśmiech, ten *protest-song* wymagał pełnego oddania.

– Przyszedł już czas, najwyższy czas. Nienawiść zniszczyć w sobie. – Chwila oddechu. Spojrzał na jurorów, którzy po kolei wstawali i wrócił do pieśni, zapominając o całej reszcie na tych kilka chwil.

Kiedy skończył i pochylił się w staromodnym stylu, cała sala biła brawo, nie wyłączając pięciu osób, z których za chwilę miał wybrać swojego trenera.

– Jak się nazywasz? – zapytał jeden z dwóch właścicieli fotela z lewej.

– Bartosz Kogut – odparł. O dziwo, z emocji trudniej mu było wysłowić się teraz, niż śpiewać przed chwilą.

– Wielu już było wykonawców tego trudnego utworu – kontynuował Dansen, wokalista popularnego zespołu. – I o ile wielu potrafiło oddać barwę głosu mistrza Niemena, to mało kto potrafił tak oddać emocje. Wspaniały występ.

– Szapo ba. – Ukłonił się jego kolega, gitarzysta Martin. – Świetny wykon.

– Przyjdź do mnie – odezwała się wymodulowanym głosem kolejna jurorka, znana wokalistka. – A oszlifuję twój diamentowy głos.

– Masz, Bartoszu, niesamowite możliwości wokalne, śpiewałeś bez nieczystości, ale najważniejsze, że potrafiłeś żyć tym, o czym śpiewasz, to nie było tylko odtwórcze, dałeś coś z siebie. I to jest najpiękniejsze – pochwaliła kolejna.

– Ja zgodzę się z przedmówcami – ostatni z jurorów zabrał głos. – Dodam tylko, że cieszę się z doboru piosenki. Mam na myśli polską piosenkę. – Położył nacisk na słowie „polską”.

– No to czas na decyzję! – Dansen z naturalnym ciepłym uśmiechem zakończył wypowiedzi gremium.

I to właśnie jego i Martina wybrał Bartosz Kogut.

Następne dni stały pod znakiem wytężonej pracy. Trenerzy wybrali piosenkę na następny program – tym razem dwie osoby będą wspólnie śpiewały jeden utwór i lepsza przechodzi dalej. Przeciwniczką Bartosza została niespełna dwudziestoletnia Katarzyna, a wybór padł na *Prócz ciebie nic* duetu Krzysztof Kiljański i Kayah.

Początkowo w towarzystwie seksownej i charyzmatycznej towarzyszki scenicznej Bartosz nie potrafił się skupić. Kiedy jednak zaczęli śpiewać, to całą intymną więź wyrażaną melodią słów czuł wręcz fizycznie i zapominał, że dookoła jest ktoś poza nimi. Trenerzy byli zadowoleni.

– Dacie radę. Wymiatacie – powtarzali im, ciągle jednak zwracając uwagę na detale, na pracę przepony, gestykulację, współpracę na scenie i stosunek do publiczności. – To wszystko ma znaczenie. O wasze głosy się nie martwimy.

Kiedy nadszedł wieczór bitwy, Bartosz z tremy musiał zrezygnować z obiadu. Nie byłby w stanie nic przelknąć, a żołądek i tak się buntował. Minęło, gdy wraz z Katarzyną zajęli miejsca na scenie. Znajome dźwięki pianina rozproszyły mroki zdenerwowania i niepokoju. Przez te trzy minuty na scenie byli tylko oni. Niski, zmysłowy głos Bartosza wiernie naśladował oryginał, ale i przeciwniczka prezentowała się świetnie. Czuć było iskrzenie pomiędzy nimi, zawarte w piosence i przekazane przez struny głosowe.

Oklaski publiczności trwały długo. Bartosz i Katarzyna złapali się za ręce, czekając na werdykt. Tylko jedno z nich może zostać.

– Nie będziemy przedłużać. – Dansen wstał energicznie, ścierając z czoła pot. – Byliście świetni, ale możemy wybrać tylko jedną osobę. Bartosz, zostajesz z nami.

Poczuł radość, ale i igłę, wbijającą się gdzieś w koniuszek serca.

– Gratuluję! – Starła się uśmiechnąć Katarzyna. – Zasłużyłeś.

Bartosz miał wrażenie, że właśnie odebrał komuś coś cennego. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, bo rozległ się głośny buczący dźwięk.

– Kraaadzież! – obwieścił tubalnym głosem prowadzący. – Katarzyno, skradłaś serce Martyny, a ona skradła cię z drużyny Dansena i Martina.

Jedną z reguł tego etapu, była możliwość przejścia osoby, która została odrzucona z duetu.

– Gratuluję! – Bartosz chciał jeszcze coś dodać, ale Kasia już zbiegała na szpilkach do nowej trenerki. – Prócz ciebie... tylko muzyka – zaśpiewało serce. Tym razem solo.

Kolejne występy tylko utwierdzały pojawiających się lawinowo fanów, że ich nowy idol, to prawdziwy talent. Trenerzy nie chcąc zamykać go w jednej konwencji, podsuwali mu różnorodne tematy muzyczne.

Przebrnął przez chrapliwy baryton Hetfielda w klasycznej heavymetalowej balladzie *Unforgiven*, psychodeliczny wokal Serja Tankiana w *Chop suey*, by ciepłym tembrem Wodeckiego urzec starszych słuchaczy w nastrojowym *Zaczynij od Bacha*. Do tego wspaniale sprawdził się we własnych interpretacjach kobiecych przebojów, wcielając się w Randy Crawford we wzruszającej, wyciszonej piosence *Almaz* o prawdziwej czystej miłości, czy zmieniając płęć w tekście *Power of love*, gdzie śpiewał: *'Cause You're my lady, and I am your man*.

– W tej piosence zamknęłaś moje serce w swojej dłoni – piała zachwytem Martyna, po piosence *Almaz*. – I mocno zacisnęłaś. Dźwięki, które wydajesz, rozedrgały moją duszę. – Uroniła łzę na perfekcyjny makijaż. – Żałować mogę jedynie, że nie jesteś w mojej drużynie.

Nadszedł czas na półfinał. Bartosz włożył odświętny garnitur, co i tak nie ukryło niedostatków urody. Zanim udał się na scenę, ktoś zawołał go po imieniu.

Trudno było pomylić te sympatyczne kilogramy, kryjące się pod T-shirtem z napisem *My music my life*. Marek Zawadzki we własne osobie.

– Panie Bartoszu. – Pogroził palcem, uśmiechając się od ucha do ucha. – Nieładnie, nie zadzwonił pan, a ja mogłem pomóc pominąć ten etap szopki w telewizji. Ale, cóż, niektórzy to lubią. Chociaż pan nie wygląda na kogoś w typie Martynki, he, he!

– Dzień dobry! – Zawstydził się nieco Bartosz. – Ja... ten tego... zgubiłem wizytówkę – skłamał.

– Oj, tam! Nie jestem pamiętliwy. Może ten program przygotowuje grunt dla właściwej kariery. Pana wybór. Nie sądziłem, że z pana taki... Kogut! – zarechotał. Bartosz również się roześmiał.

– Tym razem tak łatwo się mnie pan nie pozbędzie. – Ujął pod ramię młodego mężczyznę, który wyglądał przy nim jak jamnik przy buldogu. – Wygraną ma pan w kieszeni. Ja proponuję już teraz poważny kontrakt. Tutaj nagrodą jest płyta w Polsce, ja mam większe możliwości. Już uruchomiłem kontakty, panu potrzeba dobrych muzyków, profesjonalnego studia i przebojów, przebojów i jeszcze raz przebojów. Wszystko pan wyśpiewa, he, he.

– Jeszcze nie wygrałem – uciął Bartosz. – Zaraz mam półfinałowy występ. Jak wygram, to możemy porozmawiać, ale i tak chyba jakaś umowa, kontrakt obowiązuje zwycięzcę...

– Już mówiłem, to się da połączyć, tylko muszę mieć pana zgodę, formalności załatwimy po konkursie, jakkolwiek by się nie zakończył. – Wyciągnął pulchną dłoń. – Chociaż wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że kogut, co dużo pieje... dużo kasy daje! – Klepnął stremowanego uczestnika i zarechotał.

Bartosz uścisnął dłoń Zawadzkiego. – Niech mi pan życzy powodzenia! Teraz żyję tylko konkursem.

Gdy Kogut udał się na scenę, otyły mężczyzna wyciągnął wielkiego jak tablet smartfona i zadzwonił. – Zgodzi się, już ja tego dopilnuję.

Scena była dyskretnie oświetlona, padł klaps i widownia ucichła. Powoli z półmroku wyłonił się brzydki mężczyzna w garniturze. Krótko ostrzyżony, dokładnie ogolony z rzadkich kępek zarostu stanął przed... dwoma mikrofonami. Odstające uszy nadawały pucułowatej twarzy karykaturalny wygląd, czego dopełniały jeszcze sino czerwone policzki i skóra z licznymi kraterami po dawnym trądziku. Niezgrabnie poprawił poły marynarki i otworzył usta.

Dźwięki, które wypełniły audytorium, sprawiły, że brzydał wypiękniał. Wziął we władanie każdego, kto nie był głuchy jak pień. To on był tu władcą marionetek, pociągał ciepłymi nutami za sznurki, na końcach których inni mieli serca i dusze. Uwalniał endorfiny i doprowadzał do ekstazy narządy Cortiego słuchających.

Wokal zlewał się z muzyką. To była jedność. On był śpiewem, on był muzyką. Otwierał nowe wrota dla doznań – upijał ósemkami, półnutami, przeszywającym vibratem, wyczuciem rytmu i ekspresją.

Kiedy wybrzmiały pierwsze frazy Andrea Bocelli'ego z *Time to say good bye* publiczność jeszcze siedziała, ale gdy w pewnym momencie Bartosz podszedł do drugiego mikrofonu, publiczność na chwilę oniemiała, po czym ludzie masowo podrywali się z podziwu z ciepłych siedzeń.

Bartosz dokonał rzeczy niebywałej – z tenoru włoskiego mistrza przeszedł na sopran Sarah Brightman. – To niemożliwe – zdawały się mówić twarze jurorów. Gdyby nie wiedzieli, że to nie *playback*, nigdy by w to nie uwierzyli.

Bartosz był w swoim żywiole, wkładał ogromny wysiłek w każdą sylabę, każdą nutę, jednak dla przeciętnego widza sprawiało to wrażenie lekkości, tak jakby to był jego naturalny głos.

Po burzy oklasków głos zabrał Dansen.

– To nie miało prawa się wydarzyć. A jednak się zdarzyło. Jesteś anomalią, Bartoszu. Martin, uszczypnij mnie! – Kolega z fotela wykonał polecenie. – Jednak to nie sen. Czyli jesteś anomalią. Ale jakże cudowną. Nie jesteśmy w stanie nauczyć cię lepiej śpiewać, ponieważ robisz to sto razy lepiej niż ktokolwiek z nas. – Poprawił nieodłączną czapkę z daszkiem.

Uczestnik konkursu zaczerwienił się, pochylił głowę i rzekł cicho, z dużą dozą prawdziwej skromności: – Dziękuję, to dzięki wam. – Zatoczył ręką koło, wpatrując się w widownię. – I dzięki wam.

Finał był tylko formalnością. W ostatniej piosence Bartosz Kogut „ożywił” Freddy’ego Mercury’ego w piosence *Bohemian rhapsody*.

Prowadzący musieli przerwać brawa, ponieważ czas antenowy gonił, a po ogłoszeniu wyników Bartosz szczęśliwy i uśmiechnięty wzlatywał kilkakrotnie w górę, podrzucany przez pozostałych uczestników, łącznie z finalistami.

– Gratulacje! – Marek i Bartosz ponownie uścisnęli sobie ręce. – Załatwiłem wszystko tak, żeby nie zrywać kontraktu, który cię wiąże z programem, tylko połączyć go w większy. Europejski. Ogólnoświatowy. Jutro dopełnimy formalności. Dzisiaj jest twój wielki dzień, pewnie chcesz poszaleć.

– Jadę do domu – wychrypiał. – Muszę się spotkać z moimi największymi fanami. I podziękować im za wszystko.

Musieliśmy zrobić przerwę. Od paru godzin siedzieliśmy w małym pokoju wspólnie z Bartoszem i przygotowywaliśmy materiał.

Już kiedy rumiana pięćdziesięciolatka otworzyła mi drzwi drewnianego domku w Lisznej, przeczuwałem, że nie wszystko pójdzie tak gładko, jak sądziłem. A kiedy wprowadziła mnie do pokoiku syna, zrozumiałem wszystko.

Na fotelu przede mną siedział mój idol. Łysa głowa, zapadnięte oczy, skóra i kości. Mój wzrok utknął jednak na wystającej z gardła rurce. Tracheostomia! – Przemknęło mi przez głowę. – Jest chory, Bartosz Kogut jest chory!

Po początkowym skrępowaniu szybko znaleźliśmy wspólny język. To znaczy, Bartosz podał mi zeszyt, zapisany równym pismem i starał się powiedzieć, co skrywa. Wpierw jego charkot wydawał mi się tylko charkotem, jednak wsłuchując się uważnie i patrząc na ruch warg, powoli wyłapywałem słowa. To... mój... pamiętnik...

Usiadłem i czytałem na głos, wedle życzenia mojego rozmówcy. W pewnych miejscach Bartosz przerywał, poprawiał, a ja nanosiłem zmiany, w innych ja dopytywałem o szczegóły.

„Kiedy okazało się, że to, co siedzi głęboko we mnie, to, co mi śpiewa na dobre i na złe, podoba się innym, coś we mnie pękło. Poczulem, że mój śpiew ma sens, tak naprawdę on nadawał jakikolwiek sens memu życiu. Nie widziałem nic złego w swojej dotychczasowej pracy, ale to muzyka okazała się moim powołaniem. Chciałem śpiewać, dzielić się emocjami z innymi i cieszyć się, widząc ich spontaniczne reakcje. Potrzebowałem słuchaczy, nie umiałbym już śpiewać tylko dla siebie”.

Po kilku godzinach zarządził przerwę. Zostałem poczęstowany ruskimi pierogami i pomidorową. Smakowała jak nigdy.

Po obiedzie mój rozmówca musiał chwilę odpocząć, później zarządził kontynuowanie wywiadu. Widziałem, jak bardzo jest zmęczony, dlatego zaproponowałem, aby to przelożyć, jednak zbył mnie machnięciem ręki.

Usiedliśmy ponownie, a ja starałem się nie uронić ani słowa, które wyciskało się na świat przez rurkę tracheostomijną.

Poczekalnia była jasna, sterylna i absolutnie bezpłciowa. Bartosz kręcił się w fotelu. Nie wypadało tutaj palić, a już pięć minut minęło, odkąd wypalił ostatniego papierosa w bramie kamienicy. Czekał cierpliwie, jeszcze do niego nie docierało, że jest teraz gwiazdą i to na niego wiele osób będzie niecierpliwie czekać. Nawet ów profesor laryngologii. Kiedy asystentka wyczytała jego nazwisko, na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, by za chwilę rozjaśnić ją promiennym uśmiechem.

– Panie Kogut! – zawołała. – Trzeba było się odezwać! Profesor już czeka na pana, proszę.

Gabinet był przestronny i nowoczesny. Profesor zaś stanowił zaprzeczenie tej tendencji. Starszy, posiwiały, w nieco poplamionym chałacie, pod którym krył się czarny garnitur.

– Od czego zacząć? – Gestem wskazał pacjentowi miejsce w fotelu.

– A są jakiegoś dobre wiadomości?

– Są tylko te mniej złe.

– To proszę konkretnie, nie ma co owijać w bawełnę.

– Pamięta pan, co mówiłem na poprzedniej wizycie?

Jakże miał nie pamiętać? Okazało się, że naprawdę stanowi anomalię. Jego krtań zbudowana była nietypowo. Posiadała jakieś dodatkowe fałdy – jak mówił lekarz, żeby uprościć – miał dwie dodatkowe struny głosowe, stąd jego niespotykane możliwości wokalne. Ewenementem była nie sama ich obecność, tylko zdolność do wykorzystania. To taki podwójny mechanizm, który pozwalał na niespotykane dotąd wariacje głosem. Nie wiem, chłopie, ile oktaw ma twój głos, czy pięć, czy osiem. – Przypomniał sobie słowa Dansena. – Nie wiem, bo nie widzę granic twoich możliwości. Nie zmarnuj talentu, bo jesteś unikatowy.

Był unikatowy, a jakże. Nie miał talentu, tylko stanowił cholerną anomalię.

– Doskonale pamiętam, panie profesorze – odpowiedział, kiwając głową.

– Niestety, wyniki wycinka z polipa są jednoznaczne. Rak płaskonabłonkowy.

Bartosz, chociaż spodziewał się złych wieści, nie potrafił ukryć strachu i niedowierzania.

– Czy... to pewne?... – Włączył się mechanizm wyparcia.

– Dwóch patomorfologów niezależnie od siebie postawiło takie rozpoznanie.

Przez chwilę milczeli. W końcu Bartosz wydukał:

– A te mniej złe wieści?

– Jeśli zoperujemy natychmiast, jest szansa na pozbycie się nowotworu w całości.

– To znaczy, usuniemy polip? – Łudził się jeszcze.

– To znaczy... – Profesor setki razy przeprowadzał podobną rozmowę, mimo to za każdym razem miał wrażenie, że wydaje wyrok i wcale nie jest łatwiej po tylu latach. – Usuniemy krtań i węzły chłonne.

– Ale... ale... ja mam trasę koncertową, nie mogę, nie mogę teraz...

Debiutancka płyta, przy której współpracował ze światowej klasy specjalistami okazała się strzałem w dziesiątkę. Albumy rozchodziły się na świecie jak ciepłe bułeczki. Zaplanowano wielką trasę koncertową. Ośmiomiesięczną.

– Nie mogę... – Zabrzmiało to desperacko i błagalnie.

– Niestety, panie Bartoszu, trzeba operować już teraz.

– I stracę głos nieodwołalnie?

W odpowiedzi starszy mężczyzna tylko potaknął.

– A gdybym zgłosił się za osiem miesięcy?

– Powiem wprost. Teraz jest moment, kiedy jest duża szansa na wyleczenie, choć pewności nigdy nie ma. Za osiem miesięcy... Postawię sprawę jasno. Za osiem miesięcy nie wiem, czy będę miał kogo operować.

Byłem na trzech koncertach spośród wielu wielkiej trasy Bartosza Koguta. Każdy zauroczył mnie inaczej, dwie godziny mijały w mgnieniu oka, a człowiek wychodził niczym dotknięty magią. Każda pieśń żyła długo po tym, jak wybrzmiała z ust tego człowieka. Może był anomalią. Jeśli tak, to żałuję, że ja jestem taki zwyczajny.

Deszcz wybębniał na parasolach marsz pogrzebowy. Wielki tłum powoli opuszczał cmentarz. Ja zostałem do końca. Kiedy ostatni członkowie rodziny oddalili się, podszedłem do tablicy przygotowanej na nagrobek.

Kochałem ludzi – brzmiał napis. – Kochałem ludzi, a swoją miłość wyrażałem śpiewem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Carvedilol, dodano 03.10.2018 08:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.